

Naukowiec brzmi dumnie (?!!)

Trudno obecnie ukryć zażenowanie i irytację, gdy uświadomimy sobie, że to finanse zdecydowały o prestiżu środowiska zawodowych naukowców. Ale ważne jest zatem pytanie: jak to się stało, że pieniądze się rozplynęły, a prestiż pozostał? Ta książka, tłumacząc zarazem działanie współczesnego systemu, na to pytanie odpowiada – pisze Juliusz Gałkowski o książce Moniki Golonki „Komu potrzebni są naukowcy?”.

Jest to książka, której prezentację trzeba zacząć od tłumaczenia się z tego że omówienie będzie zawierać szereg krytycznych uwag i zastrzeżeń. Niestety, owe zastrzeżenia są konieczne.

Zwykło się mówić, że dolewamy łyżkę dziegciu do beczki miodu i tak naprawdę nie za bardzo wiemy, co nam wyjdzie z tej mikstury. Zasadniczo dolanie owej substancji psuje słodycz i smak. Dlatego też krytykując czyjąś pracę, musimy brać pod uwagę, na ile ocena będzie sprawiedliwa. Przecież nawet jedna nieroztropna uwaga może sporo zepsuć. A w przypadku omawianej w tym tekście publikacji kilka kropli zamienia się w całkiem sporą ilość gorzkiej, smolistej w swym krytycyzmie, cieczy. Obrazowo mówiąc, do pracy Moniki Golonki trzeba podłączyć kroplówkę krytyki. Zabieg ten jest konieczny z dwóch powodów. *Primo* poprzez swoją skrótowość budzi ona pewne wątpliwości, które czytelnik musi bądź to zweryfikować, bądź też uznać, że jednak można przejść nad nimi do porządku. Ponadto naprawdę warto zastanowić się nad tym, czy jest ona jeszcze aktualna, czy aby zbyt szybko się nie przeterminowała. *Secundo*, postawione są w niej bardzo mocne tezy, i autorka w żaden sposób nie ich nie łagodzi. W takiej sytuacji konieczne jest wskazanie słabych punktów zawartych w omawianej książce. Ale nie można ukryć, że trochę ich jest, i że chociaż oczywistą oczywistością jest stwierdzenie, że każdy z nas sam wyciąga wnioski z lektury, to takie „ostrzeżenie” jest koniecznością.

Książka *Komu potrzebni są naukowcy?* składa się z czterech części, pierwszą jest próba opisanie historii grupy zawodowej określanej mianem „naukowców”. Jest to część najdłuższa, co nikogo dziwić nie powinno, ponieważ są to dzieje niemalże tożsame z historią cywilizacji europejskiej. Europa bez uczonych wydaje się być niemożliwa, a ekspansja kulturowa i gospodarcza Starego Świata (o militarnej nie wspomnę) przyczyniła się do narzucenia innym cywilizacjom naszego pojmowania nauki. Warto zwrócić uwagę, że była to ekspansja na tyle udana, że społeczeństwa z Ameryki i Azji przyjęły taki sposób rozwijania wiedzy za swój, i częstokroć nie tylko dogoniły, ale wręcz przegoniły naszych, europejskich, uczonych.

Kolejne trzy są nie tylko opisem stanu obecnego, ale zarazem zawierają już element oceny. Dotyczą nie tylko Polski ale całego świata i opisują kolejno system organizacji badań naukowych, z kładzionym przede wszystkim naciskiem na Unię Europejską, rynek publikacji naukowych oraz związki pomiędzy nauką a gospodarką i relacjami społecznymi.

Szalenie trudno jest odnieść się do podanego w pierwszej części, w sposób oczywisty bardzo skrótowego opisu kilku tysięcy lat rozwoju myśli ludzkiej. Problematyczny jest już sam fakt, że owa historia nauki jest zarysowana jako próba ukazania procesu, jaki – zdaniem autorki – doprowadził nas od Gaju Akademososa i bolońskiej Universitas do współczesnego systemu, gdzie dominuje „międzynarodowe środowisko akademickie”, naukowcy są osobami o najwyższym autorytecie społecznym, a z Bolonią kojarzy się raczej system administracyjny, niż nauka na najwyższym poziomie. Co więcej, z owego, nieco chaotycznego, opisu trudno wywnioskować jakie były mechanizmy i momenty kluczowe dla wyłonienia się współczesnych zasad prowadzenia działalności naukowej. Ale z całą pewnością autorka poważała się na opis uformowania, w procesie historycznym, kilku elementów, które są konstytutywne dla środowiska akademickiego naszych czasów.

Przede wszystkim chodzi o powstanie pewnego fenomenu jakim jest „naukowiec” (pracownik naukowy).

Wprowadzone w XIX wieku słowo „naukowiec” (ang. scientist), początkowo obniżało rangę społeczną nazywanych tak osób. Kojarzyło się z człowiekiem uprawiającym naukę dla korzyści, „robiącym biznes na nauce”. Z czasem jednak określenie to, ze względu na uzyskiwane w efekcie korzyści materialne, zyskało prestiż, podnosząc rangę osób, które je nosiły. (s. 51)

Trudno obecnie ukryć zażenowanie i irytację, gdy uświadomimy sobie, że to finanse zdecydowały o prestiżu środowiska zawodowych naukowców. Ale ważne jest zatem pytanie: jak to się stało, że pieniądze się rozplynęły, a prestiż pozostał? Wydaje się, że książka, tłumacząc zarazem działanie współczesnego systemu, na to pytanie odpowiada. Tą siłą jest tak zwane „międzynarodowe środowisko akademickie”, które stało się punktem odniesienia nie tylko dla środowisk naukowych poszczególnych krajów, czy regionów. „Ustalenia naukowców” bardzo często stają się argumentem ostatecznym, pieczętującym sprawę, w wielu debatach publicystycznych, politycznych i obyczajowych. Przykładem może być, prawdziwy bądź mniemany, konsensus naukowców w sprawie zmian klimatycznych.

Ale dlaczego naukowcy międzynarodowi są istotniejsi niż narodowi, i dlaczego są tak godni zaufania jak strażacy? Monika Golonka wskazuje na szereg czynników, które się na to złożyły. Przede wszystkim dominacja środowiska anglosaskiego, które wykorzystując rosnącą popularność języka angielskiego i oraz przewagę ekonomiczną stało się punktem krystalizującym ową „międzynarodowość nauki”. Kolejny było rosnące od XIX wieku przekonanie, że nauka może i powinna (z coraz mocniejszym akcentem kładzionym na ten drugi punkt) być czymś praktycznym. Teoria, metafizyka czy teologia stawały się czymś „nienaukowym”, spychanym na bok, a wreszcie śmiesznym. O wartości nauki stanowi jej użyteczność...

Ale mimo że historyczna diagnoza proponowana przez autorkę jest ciekawym punktem odniesienia, musimy postawić pytanie – co było najpierw? Teza czy badania historyczne? Sam fakt powstawania takich wątpliwości podważa (choć nie niszczy) zaufanie do tekstu.

Dlaczego naukowcy międzynarodowi są istotniejsi niż narodowi, i dlaczego są tak godni zaufania jak strażacy? Monika Golonka wskazuje na szereg czynników, które się na to złożyły

O wiele poważniejsze wątpliwości budzą kolejne rozdziały książki, tym razem diagnozujące stan obecny. Przede wszystkim dlatego, że opracowanie nie nadążyła za rzeczywistością. Trudno jednak prezentować ten fakt

jako dezawuuujący zarzut – bowiem nie można w żadnym przypadku stawiać tezy, że stan jaki został opisany, został przedstawiony i zdiagnozowany nierzetelnie. W najmniejszym przypadku, bez przeprowadzenia sumiennych analiz (kontr-analiz?), nie ma do tego podstaw. Kłopot w tym, że autorka opisała stan rzeczy przed zmianami przeprowadzanymi przez obecnego ministra nauki Jarosława Gowina. I nic nie poradzimy na to, że książka została wydana w roku 2018, czyli że z całą pewnością została napisana przed wejściem w życie najnowszej wersji ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce. Autorka nie odniosła się jednak nawet do jej projektów, a co gorzej, nie odniosła się do debaty (niezależnie od tego jak jest oceniana), która poprzedziła przegłosowanie tego aktu. Z dużym żalem należy stwierdzić, że w momencie wydania była niemalże całkowicie zdezaktualizowana. Brak odniesienia do owej nowych aktów prawnych, przede wszystkim ustawy o nauce i szkolnictwie wyższym, a także do ustaw o innowacyjności i o sieci Łukasiewicza, stanowią poważny zarzut dla tej książki. A półtora roku ukazaniu, zdaje się ona być bardziej pracą z zakresu historii, niż analizą systemu szkolnictwa wyższego. Szkoda.

Chociaż niewątpliwie każdy, kto będzie chciał poddać analizie skutki wejścia w życie aktu, nazywanego przez twórców „Konstytucją dla nauki”, z całą pewnością do książki Moniki Golonki zajrzeć powinien.

Ale jest to praca, która powinna być znana i analizowana z zupełnie innego powodu. *Komu potrzebni są naukowcy?* jest pracą, która stara się odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule. Ocena jest druzgocąca: w

takim systemie, jaki obecnie mamy, większość naukowców jest absolutnie zbędna. I co ciekawe, autorka nie poddaje krytyce poszczególnych kolegów, nie ucieka w anegdotki o bzdurach i plagiatach (a miałyby o czym pisać) tylko poddaje brutalnej ocenie system, który nazywamy górnolotnie i (często bezzasadnie) „Akademią”.

Czym jest owa Akademia? Jest systemem, w którym od rozwoju i kumulacji wiedzy, ważniejsza jest kariera osobista pracownika naukowego (dlatego też są to bardziej naukowcy niż uczeni) i rozwój organizacyjny instytucji, w której jest zatrudniony.

Autorka nie pozostawia nam złudzeń:

W środowisku akademickim już nie pyta się o to, co przyczyni się do rozwoju wiedzy, ale o to co przyczyni się do rozwoju kariery. (s. 80)

Dlaczego tak jest? Przyczyną jest system oceny pracowników, i ośrodków, w których pracują, poprzez liczbę i miejsce ukazania się publikacji naukowych. Dobry naukowiec to ten, który publikuje dużo i do tego w „liczących się” wydawnictwach i czasopismach.

I tutaj należy zwrócić uwagę, że system wydawniczy, system rankingów oraz „wycen wartości naukowej” jest po prostu systemem biznesowym, mającym za zadanie przynosić dochody właścicielom. Nie oznacza to, że mamy do czynienia z jakimś oszustwem (choć pole do nadużyć jest ogromne i często szczerze wypełnione), ale że jest to forma płatnej usługi, która ma przynosić korzyści obu stronom. O obiektywnym systemie oceny nie ma mowy. Zresztą jak miałyby wyglądać owe obiektywne oceny, skoro mówimy o rynku dosłownie globalnym, obejmującym naprawdę cały świat?

Dochodzi do sytuacji, którą prof. Jerzy Marian Brzeziński określa bardzo dosadnie: „Teraz nieważne jest, jakie prowadzisz badania. Ważne, ile zbierzesz punktów.” Oczywiście jest to retoryczna przesada, ale wskazuje na to, co w systemie jest złego. Bowiem, jak wskazuje autorka

omawianej książki bardzo duża liczba tekstów naukowych (także tych z renomowanych czasopism i wydawnictw) pozostawia wiele do życzenia. (ss 81-82).

System ten skutkuje, że badania naukowe stają elementem wymyślnej strategii rozwoju kariery, bardziej przypominającej Wersal niż Sorbonę.

W praktyce oznacza to, że już na etapie planowania badań i przygotowania wniosku o grant, należy się skoncentrować na wybranym czasopiśmie, w którym upatruje się szansy na opublikowanie wyników badań. (s.80)

A daje następuje wyliczenie szeregu czynników, które należy uwzględnić, jeżeli chcemy aby nasze teksty ukazały się „tam gdzie trzeba”. Nie miejmy wątpliwości, powiązania towarzyskie stanowią jeden z nich. Nie powinno zatem dziwić, że uczelnie organizują dla swoich pracowników szkolenia z tego jak przygotowywać granty aby miały szansę powodzenia w konkursach. Sama jakość badań – jak się okazuje – nie wystarcza. Powstają całe publikacje drukowane i internetowe (o blogach i portalach nie wspomnę) gdzie informuje się, gdzie i jak publikować, aby być czytany i cytowany. Bo bez tego nie będzie się cenionym naukowcem. Dla całkiem sporej grupy naukowców nastąpiło przestawienie zwrotu: to nie wartościowy uczony jest cytowany, to cytowanie decyduje czy ktoś jest wartościowy. A od tego punktu równia pochyła, biegnąca w dół, kierunku wielu wypaczeń jest coraz bardziej strona.

Funkcjonowanie w tym systemie czy też mówiąc kolokwialnie: granie w tę grę, nie pozostaje bez znaczenia dla sposobu myślenia indywidualnych badaczy, podobnie jak realizacja badań w ramach paradygmatów badawczych opisanych wcześniej.

Wybór rozwoju własnej kariery oznacza podporządkowanie regułom gry międzynarodowego środowiska akademickiego, a to oznacza także interesom tej grupy – w rzeczywistości nie

służącym ani poznawaniu rzeczywistości, ani rozwojowi nauki, ani rozwojowi społeczno-gospodarczemu. (s. 83)

Nie służy rozwojowi społeczno-gospodarczemu, ponieważ wedle książki (i jej autorki) nauka nie jest wykorzystywana w dostatecznym stopniu, lub zgoła wcale. Analiza przychodów wydawnictw akademickich wskazuje, że mniej niż 15% przychodów pochodzi od nabywców korporacyjnych (dotyczy to także wydawnictw medycznych i farmaceutycznych). Ogląd sytuacji pozwala zarówno Monice Golonce, jak i autorom, których cytuję, na sformułowanie mocnej tezy o znikomym zainteresowaniu ze strony przedsiębiorców wynikami badań naukowych. Dotyczy to nie tylko nauk podstawowych, ale także medycznych, organizacji, zarządzania i praktyki gospodarczej, czy nauk technicznych. Warto w tym miejscu – w ślad za autorką (s.98) – zwrócić uwagę na fakt, że im mniejsza firma tym mniejsze przejawia zainteresowanie wynikami badań naukowych. Warto w związku z tym zadać pytanie – jak się to ma do tzw. „start-upów”? Są one określane jako najistotniejsze ogniwo innowacji, a jak ma się to do rzeczywistości?

Ten fragment opisu stanu rzeczy autorka kończy smutną konstatacją: „Wniosek, że może po prostu na wyniki prac środowiska akademickiego nie ma popytu na »rzeczywistym rynku«, w skład którego wchodzi przedsiębiorstwa, nie jest brany pod uwagę”. (s.98) W gruncie rzeczy nie mamy zatem mechanizmu aby sprawdzić na ile tak zwana innowacja ma jakiegokolwiek pokrycie w rzeczywistości. Tym bardziej, że przecież tworzone są rankingi najbardziej i najmniej „innowacyjnych” gospodarek. Przykładem może być tzw. Bloomberg Innovation Index, który bierze między innymi „procentowy udział wydatków na badania i rozwój w Produkcie Krajowym Brutto, wydajność pracy w przeliczeniu na pracownika, procentowy udział spółek z branż wysoko zaawansowanych technologicznie w całości rodzimych firm, zasięg szkolnictwa wyższego, odsetek osób zaangażowanych w prace badawczo-rozwojowe w całości populacji oraz lokalną aktywność patentową.”

Rozwojowi innowacyjności nieodmiennie dedykowany jest także jeden z programów operacyjnych dystrybuujących środki unijne do Polski. W kolejnych perspektywach do naszego kraju przetransferowano w tym

celu miliardy euro, zaś omawiana książka zdaje się sugerować, że były one po prostu wyrzucane w błoto. Nie dlatego, że je przehułano lub zmarnotrawiono, tylko dlatego, że prawdziwy przepływ wiedzy między nauką, a przedsiębiorczością po prostu nie istnieje. Co więcej, nic się nie robi aby powstrzymać proces „oddzielania od siebie światów – rynku naukowo-publikacyjnego i rzeczywistości społeczno-gospodarczej” (s.99)

Książka Moniki Golonki jest nie tylko analizą stanu rzeczy ale zarazem ekspresją i deklaracją. Kłopot z tą książką polega na tym, że niezależnie od tego jak mocno się z nią zgadzamy (lub nie zgadzamy – warto w tym miejscu przywołać tekst profesora Andrzeja Jajszczyka, który stawia tezy właściwie odwrotne) to widać wyraźnie, że stawia nas wobec podstawowych problemów, na które musimy odpowiedzieć. A tak naprawdę chodzi o jedno pierwotne pytanie: jaka jest rola zjawiska określanego przez nas mianem „nauki” w społeczeństwie?

Monika Golonka w gruncie rzeczy nie udziela odpowiedzi na to pytanie. Nie bardzo wiemy, czy jej nie zna, czy się od niej uchyla. Ale czy nauka i wiedza to to samo, i czy we współczesnym świecie pracownicy nauki nie stali się swoistymi szamanami? Wszak wciąż są uważani za istotny punkt odniesienia, a może to tylko bańka medialna? Może „jajogłowi” są tak naprawdę zbędni na świecie, tylko jeszcze ich badania naukowe im tego nie uświadomiły? Kilka lat temu świat obiegła wiadomość, że Japonia rezygnuje z nauk humanistycznych. Ciekawe czy pojawi się kraj, który w ogóle zrezygnuje z nauki? A może pytanie powinno brzmieć „czy” ale „kiedy”?

Monika Golonka, *Komu potrzebni są naukowcy?*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2018